

Kat. „10 - 12 lat”

I miejsce: Zofia Kulig

głos: Chaber

Lubowidz

Kiedy to się działo - tego nie wiem, ale na pewno bardzo dawno temu. Gdzie – to już całkiem pewne - nad jeziorem niedaleko dzisiejszego Lęborka, we wsi Lubowidz. O niej to właśnie ta legenda.

Wiele, wiele lat temu, a może jeszcze wcześniej, po obu stronach pięknego jeziora istniały dwie osady. Żyli w niej ludzie, zajmujący się zwyczajnymi, codziennymi sprawami: uprawą pól, hodowlą bydła, tkactwem i garncarstwem. Żyli skromnie, ale spokojnie. Jednak mimo tego, iż wiedzieli jedni o drugich, nigdy ze sobą się nie spotykali. Poróżniła ich wieki temu sprawa, o której wiedzieli tylko starsi owych rodów. Młodzi, nie chcąc drażnić rodziców, nie pytali o zaszłości. W taki oto sposób, wiedząc o sobie, żyli jednak osobno.

Na wschodnim brzegu mieszkała rodzina z trójką córek, z których najstarsza – Jagna, uwielbiała śpiewać. Każdego wieczoru, zmęczona po całym dniu pracy w polu, gdy słońce kułło się ku zachodowi, wychodziła nad brzeg jeziora i nuciła piosenki. Sprawiało jej to niesamowitą przyjemność. Często się wtedy zapominała i z każdą minutą śpiewała coraz głośniej. Wtórowały jej wówczas ptaki i szum sitowia. Tymczasem po drugiej stronie jeziora swoje sieci rybackie rozstawiał młodzieniec o imieniu Miłek. Lubił to zajęcie, zwłaszcza, że umiał je głos niesiony po tafli jeziora. Rozpoznawał już dźwięki nuconych pieśni, ale nigdy dotychczas nie widział dziewczyny. Co wieczór wyczekiwał jej głosu. Bardzo się martwił, gdy go nie słyszał. Zastanawiał się wtedy, co mogło się wydarzyć. Obiecał sobie wówczas, że gdy tylko znowu ją usłyszy, spróbuje jej odpowiedzieć.

Gdy nadarzyła się okazja, postanowił zrealizować swój plan. Jagna, starym zwyczajem, pojawiła się nad jeziorem i zaczęła śpiewać. Słowa piosenki: „Luby, mój luby...” niesione po lustrze wody trafiły do Miłka. Wtedy ten zawołał:

- Widzę cię, widzę!!!

Dziewczyna zamilkła, myśląc, że się przesłyszała. Odczekała chwilę i po chwili zaczęła śpiewać jeszcze raz ten sam wers:

- Luby, mój luby... - i ponownie usłyszała tą samą odpowiedź.

- Widzę cię, widzę!!!

Tym razem wiedziała na pewno, że nic jej się nie przesłyszało. Lekko wystraszona pobiegła od razu do domu, ale nikomu o tym nie mówiła. Domyślała się bowiem, że ten „ktoś” pochodzi z osady, z którą kontakty są surowo zabronione. Jednak ciekawość wzięła górę i następnego wieczoru, a później kolejnego i tak jeszcze wiele razy wychodziła nad brzeg i śpiewała: „Luby, luby...”, na co otrzymywała odpowiedź:

- Widzę cię, widzę!!!

- Gdzie jesteś? – zawołała nieco ośmielona dziewczyna.

- Na prawym brzegu, przy starym ~~debie~~ ^{debie}, tuż przy sitowiu. – odpowiedział chłopak.

I tak rozpoczęła się ich znajomość. Od tej pory spotykali się co wieczór, każdy po swojej stronie jeziora i rozmawiali ze sobą. Ich hasłem tajnego spotkania były słowa piosenki: „Luby, mój luby...”, a odzewem: „Widzę cię, widzę”.

Nie trudno się domyśleć, iż tych dwoje wkrótce zakochało się w sobie. Używali różnych pretekstów, żeby móc tylko wyrwać się nad jezioro. Ich potajemne spotkania wyszły wkrótce na jaw i wywołały niemałe zamieszanie. Dużo było przy tym dyskusji, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie jeziora. Jednak najważniejsze było to, że uczucie, które ich łączyło, pogodziło zwaśnione dotychczas osady. Trwało to co prawda trochę, ale zakończyło się pięknym ślubem Jagny i Miłka.

Od tamtej pory obie osady żyły w zgodzie i rosły z każdym rokiem w siłę, a wieś, którą założyli, nazwano od słów zawołania nad jeziorem: „Luby” – „Widzę”, czyli Lubowidz.

II miejsce: Błażej Bartosz Popiela

Legenda o Lęborku

10-12



Dawno, dawno temu w osadzie, znajdującej się na północy państwa przy ważnym szlaku handlowym, zamieszkałej w dużej mierze przez rzemieślników i kupców, mieszkał książę z dwojgiem dzieci, córką Ino i synem Bogusławem. Idąc wzdłuż koryta uroczej rzeki podążającej do pobliskiego morza, u podnóża najwyższego wzniesienia można było podziwiać piękny zamek zbudowany przez księcia dla swojej rodziny. Obok na podmokłych pastwiskach zachwycali dorodne, dobrze utrzymane konie właściciela zamku.

Liczna służba dbała o wygodę rodziny księcia i duży majątek. Wśród nich był młody, przystojny młodzieniec o imieniu Lev. Przypadł gospodarzowi do gustu ze względu na swoją pracowitość, spryt, rozagę i roztropność. Cieszył się jego zaufaniem i wyjątkowymi względami. Często więc bywał na dworze i towarzyszył rodzinie włodarza. Uczył dzieci jazdy konnej, opiekował się nimi i dbał o ich bezpieczeństwo.

Dzieci były pojętnymi uczniami, Bogusław stał się mężnym roztroptym młodzieńcem, a Ino wyrosła na śliczną i pełną życia młodą kobietą. Nic więc dziwnego, że Lev i Ino zakochali się w sobie bez pamięci. Często spotykali się ukradkiem w zagajniku porośniętym wspaniałymi bukami, spacerowali wzdłuż obronnych obwarowań.

W święto sobótek Lev postanowił się wyznać swą miłość i oddanie wybrance. Poszedł więc w przeddzień do lasu, aby nazrywać kwiatów dla ukochanej. Nieopodal stawu zobaczył małą żabę, która zaplątała się w ogromną sieć pająka. Ulitował się nad nią i wyjął z pajęczej sieci.

Nazajutrz, gdy Ino zgodziła się poślubić ukochanego, postanowili poprosić o zgodę na ślub księcia. Ten nie chciał słyszeć o ich planach. Zdenerwowany zuchwalstwem biednego sługi, postanowił jak najszybciej znaleźć córce odpowiedniego męża, pochodzącego ze znamienitego rodu.

Zaczęły się więc poszukiwania kandydata na małżonka. Nieszczęśliwa dziewczyna nie akceptowała żadnego z kandydatów. Z czasem gniew ojca narastał, aż w końcu miarka się przebrała. Nic nikomu nie mówiąc, wysłał ją do wuja Świętopelka, by kochanków rozdzielić.

Zatroskany młodzieniec poszukiwał wybranki wszędzie. Czuł, że utracił ją na zawsze. Zrozpaczony, bez sił do dalszej wędrówki przysiadł w zagajniku na trawie i zaczął rzewnie płakać. Jego rozpacz przerwało głośnie kumkanie żab. Otarł oczy i spostrzegł, że otacza go mnóstwo zielonych rzekotek, a na ich czele ta, którą kiedyś uratował. Zaczęła odskakiwać, a za nią pozostałe żaby. Na chwilę przystały i obejrzały się, aby sprawdzić, czy mężczyzna podąża za nimi.

Zdziwiony Lev zaczął dreptać ich śladem. Szli i szli. Minął jeden dzień i nastał drugi. Zmieniał się krajobraz. Mijali wzgórza morenowe, wędrowali przez młody sosnowy las, przedzierali się przez wyrobiska żwiru. Obok zamku wybudowanego wśród okazałych drzew, widzieli biedne zabudowania chłopskie wśród malowniczych leśnych zagajników.

Wreszcie dotarli na skraj białogardzkiego lasu. Dzielne zwierzątka się zatrzymały. Między bukowymi gęstwinami wyłaniał się niezwykle, olbrzymiego zamku. Tu się pożegnali. Żaby wróciły do podmokłego lasu, a on podążył do okazałej budowli.

W grodzie Lev został miło przyjęty przez Świętopelka, stryjca Ino, który z zaciekawieniem wysłuchał historii opowiedzianej przez Lva. Wcześniej już wysłuchał tej opowieści od ukochanej, nieszczęśliwej bratanicy. Po niedługim namyśle postanowił im pomóc. Wskazał więc młodzieńcowi miejsce, w którym przebywała dziewczyna.

Lev nie mógł się doczekać spotkania ze swoją oblubienicą. Ruszył więc w dalszą drogę bez zbędnej zwłoki. Krajobraz się zmieniał, co nie uszło uwadze zakochanego chłopca. Z trudnością posuwał się po piaszczystych polach, dotarł do jeziora, oddalonego od skupisk ludzkich oraz otaczającej je rzeczki. Wędrował wzdłuż jeziora leśną dróżką o różnorodnej nawierzchni – raz ubitą ściółką, dalej grząskim piaskiem. Nagle znalazł się w niezwykle miejscu: sędzi borem bażynowym, torfowiskami, w otaczającym lesie zauważył bogactwo drzew: sosnę, brzozę, olchę,

wierzbę, a na pobliskich bagienkach - wrzosie i bażyne. Po odpoczynku i nabraniu sił wdrapał się na wysoką piaszczystą górę. Ze szczytu rozpościerało się wzburzone morze i ... Na wschód w oddali zauważył wieżę - cel jego podróży. Chociaż czekała go jeszcze długa droga, szybko dotarł do niezwyklej, strzelistej, wysokiej wieży, znajdującej się tuż nad brzegiem morza. W niej uwięziona była Ino.

Gdy już oswobodził ukochaną, postanowili nie wracać do domu, tylko znaleźć swoje miejsce do osiedlenia się. W czasie wędrówki znaleźli piękne, bogate w faunę i florę miejsce. A w dole wiała się śliczna rzeka. Postanowili więc tu osiąść. Przy wsparciu stryja na jego ziemi wybudowali gród ze wspinałym zamkiem otoczonym murami. Na cześć wuja Świętopelka natomiast posadzili drzewo - dąb, które nazwano jego imieniem. Rósł on w sosnowym lasu, później został otoczony innymi pięknymi dębami. Pięknie się rozrastał, z czasem stało się to ulubione miejsce odpoczynku rodziny Ino i Lva, a później mieszkańców okolicznych osad.

Jednak ojciec Ino nie mógł się pogodzić z utratą córki. Załamany, zrozpaczony, zrezygnowany stanął na skraju polany nieopodal pobliskiej osady i zaczął płakać krwawymi łzami. Płakał tak długo, aż w końcu zamienił się w ogromny Czerwony Kamień, który stoi tam do dziś dnia. Nikt nie widział tego zdarzenia, niektórzy opowiadają, że do zamiany przyczynił się grasujący tam diabeł, który tylko czekał na grzeszników większych i mniejszych.

Ino i Lev czuli sentyment do miejsca, w którym kiedyś mieszkali i pokochali się. Wspierali tę niezwykłą osadę. Postanowili upamiętnić niezwykłą przygodę Lva. Zbudowali w centralnej części osady fontannę, na brzegu której siedzi 8 odlanych z brązu żabek. Tak małżeństwo chciało się odwdziżyć rzekotkom za okazaną pomoc. Ta urocza fontanna z czasem stała się ulubionym miejscem odpoczynku wielu mieszkańców.

Zaś na szczycie góry (później nazwaną Górą Parkową), u podnóża której stał rodzinny dom Ino, małżeństwo zbudowało okazałą, wysoką budowlę o wyglądzie zameczku, widoczną z wielu miejsc osady.

Miejscowość ta rozwijała się prężnie. Panował tu dobrobyt i dostatek. Wszyscy się szanowali i wzajemnie sobie pomagali. Na cześć Lva i Ino nazwali osadę Levino, a bezpieczeństwa jej strzeże do dziś lew w herbie, który stał się strażnikiem i opiekunem.

I tak wielka miłość Ino i Lva doprowadziła do powstania kilku urokliwych, niezwykłych miejsc, znanych też w innych krainach oraz przyczyniła się do wzmocnienia osady Levino.

III miejsce: Laura Broda

głośno: Aksamitka

Jakub

W pięknym kraju, jakim jest Polska, dawno temu niedaleko morza znajdowała się mała osada. Pomieszkiwali tam ludzie, którzy wędrowali do większych miast za pracą. Wiedli tam spokojne życie. Nic szczególnego się nie działo, dni miały wolno i spokojnie. Sąsiedzi znali się bardzo dobrze, byli życzliwi i wzajemnie sobie pomagali. Wspólnie dbali o porządek w osadzie.

Teren dookoła był piękny. Osada znajdowała się w dolinie, otaczały ją wzgórza, porośnięte łąkami, które w czasie wiosny i lata były pokryte kwiatami, lasy były pełne grzybów i owoców. Na polach miejscowi osadnicy siali potrzebne im zboża.

O tym wyjątkowym, urokliwym miejscu dowiedział się pewien bardzo zamożny człowiek. Plotki szybko dotarły do ludzi, zamieszkujących Lewin, bo tak nazywała się osada. Wszyscy cieszyli się, że wesprze lokalne życie mieszkańców.

Było piękne majowe popołudnie, słońce zachodziło i tworzyło cudowny zachód słońca. Dzieci bawiły się i korzystały z pogody. Chłopcy grali w piłkę, a dziewczynki rysowały obrazki na ziemi. Dwie z nich wybrały się na łąkę, by zebrać kwiatki. Spacerowały i szukały najpiękniejszych okazów do swojego bukietu. Oddaliły się tak bardzo, że znalazły się blisko lasu. W pewnym momencie usłyszały dźwięki, które dochodziły zza krzaków. Były tak ciekawe, co tam jest, że poszły to sprawdzić. Okazało się, że mieszkał w nich przepiękny lew, z ogromną grzywą. Był bardzo łagodny, a jego oczy błyszczały, gdy spoglądał na dziewczynki. Sierść lśniła w blasku zachodzącego słońca.

Podszedł sam, żeby go pogłaskały i powiedział:

- Niech to zostanie naszą tajemnicą. Nikt nie musi o mnie wiedzieć, przychodźcie do mnie, kiedy tylko chcecie. Zawsze będę tu na Was czekał.

Dziewczynki zdumiały się i uśmiechnęły. Przytaknęły głową, cofnęły się o krok i spojrzały na siebie.

- Wracajcie już do domu - szepnął lew.

Dzieci go posłuchały i tak zrobiły. Całą drogę powrotną rozmawiały o tym, co niesamowitego widziały. Jednak wieści o nowym przyjacielu

trzymały w tajemnicy. Nikomu nic nie powiedziały, czuły się wyjątkowo.

Dni mijały, dziewczynki prawie codziennie odwiedzały lwa i rozmawiały z nim. Lubiły to robić. Letnie dni zbliżały się ku końcowi. Wraz z końcem lata do osady przybył zamożny Pan. Jak się okazało był to Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego Dietrich von Altenburg. Spotkał się ze społecznością i wyjawiał im swoje plany.

Ludność była w szoku, ale zgodziła się na to, a nawet zaczęli pomagać w realizacji jego planów.

Zaczęło się od zmiany nazwy z Lewin na Lauenburg. 1 stycznia 1341 roku Wielki Mistrz Dietrich przekazał na ręce Rutsehera Emmericha dokument lokacyjny Lauenburga, tworząc w ten sposób niezbędne podstawy do dalszego rozwoju osady.

Wtedy na dobre rozpoczęła się budowa kościoła obronnego. Budowa trwała kilka lat. Kościół zbudowany został w stylu gotyckim, w całości z cegły. Posiadał wieżę, której dach skierowany był od północy ku południowi.

W środku miał piękne sklepienie kryształowe, a przy jednym z filarów wybudowana została ambona z drewna, na której postawiono rzeźbę św. Jakuba.

Wszyscy byli zachwyceni budowlą. Podziwiali ją każdego dnia. Przyjeżdżali ludzie nawet z innych miejscowości, aby zobaczyć taki okazały i piękny kościół. Dziewczynki wpadły na pomysł, aby przyprowadzić lwa do osady, żeby również pilnował tego pięknego miejsca. I tak się stało, lew został symbolem miasta. Kościół pełnił nie tylko rolę obronną. Zdobił miasto do dnia dzisiejszego.

Mimo upływu lat i wielu remontów, w świątyni nadal znajdziemy oryginalne elementy takie jak fragmenty sklepienia, barokowy ołtarz z malowidłem, tabernakulum z rzeźbami. Patronem kościoła jako został św. Jakub Apostoł. Lęborska parafia obejmowała kiedyś całe miasto, dziś już tak nie jest, ale i tak ma sporo swoich wiernych.

Co roku parafianie w lipcu obchodzą święto patrona. Miasto organizuje Dni Jakubowe. Mieszkańcy miasta świętują przez kolejne dni.

I pomyśleć, że wszystko zaczęło się od Lewina, małej osady nieopodal morza.

III miejsce: Zuzanna Cienka

Española 2011

10-12

"LEGENDA O TAJEMNICZEJ KOMNACIE"

W dawnych czasach w miejscowości o nazwie Łeba mieszkała młoda dziewczyna o imieniu Nina. Nina codziennie chodziła na długie spacery ulicami swojego ukochanego miasta. Była już w każdym miejscu i chociaż uwielbiała te spacer, to chciała trafić gdzieś, gdzie jeszcze nie była i zobaczyć coś, czego nie widziała. Dziewczyna nie miała możliwości podróżowania, więc musiałoby to być jakieś miejsce w Łebie. Wątpiła jednak, by w ogóle istniało takie miejsce. Przecież zwiedziła już całą Łebę! Zastanawiała się codziennie przed spacerem, w którą stronę się udać, ale za każdym razem, gdy zadawała sobie to pytanie, w jej oczach pojawiały się dobrze jej znane widoki: ruchome wydmy, port jachtowy, restauracje, biblioteka miejska, place zabaw, skatepark...

- W takim razie znów pójde pooglądać najróżniejsze statki w porcie jachtowym - westchnęła Nina.

Gdy była w drodze do portu, usłyszała za plecami czyjś głos.

- Lubisz spacerować po Łebie?

Odwrociła się i zobaczyła kobietę, która stała za nią, czekając na odpowiedź na swoje pytanie.

- Pewnie, że tak! - odpowiedziała entuzjastycznie Nina, chociaż była zdziwiona tym, że jakaś przypadkowa Pani na ulicy tak po prostu ją pyta, czy lubi spacerować po Łebie.
- Ja znam najlepsze miejsca w Łebie - powiedziała kobieta. - A dokładniej pięć niesamowitych miejsc, które każdy musi zobaczyć.
- Jakie to miejsca? - zapytała dziewczynka.
- Po pierwsze, każdy musi zobaczyć ruchome wydmy.
- Byłam tam - odparła Nina zawiedziona.
- A byłaś w porcie jachtowym?
- Tak.
- W parku też byłaś?
- Tak.
- Byłaś nad jeziorem Sarbsko?
- Tak, tam też. Byłam już wszędzie - dodała dziewczynka.
- No to zostało ostatnie piękne miejsce... Czy widziałas ruiny Kościoła Św. Mikołaja? - zapytała tajemnicza kobieta.

- Istnieje w ogóle w Łebie takie miejsce?! - wykrzyknęła dziewczynka bardzo zaskoczona. - Myślałam, że byłam już w każdym miejscu! Czy to możliwe, żeby było takie, w którym nie byłam?!
- Widzisz, zawsze może znaleźć się coś, co nas zaskoczy - powiedziała Pani, a po chwili dodała:
- No to skoro nigdy tam nie byłaś, to na co czekasz? Pójdź tam i zobacz, co tam jest!

Pani Ola, bo tak miała na imię ta kobieta, wytłumaczyła Ninie, gdzie dokładnie mieszczą się owe ruiny. Dziewczynka podziękowała jej za polecenie dobrego miejsca, w którym można miło spędzić czas, po czym wyruszyła w drogę.

Bardzo podobala jej się droga prowadząca przez las. Nina uwielbiała zieleni, więc ten spacer był dla niej prawdziwą rozkoszą. Gdy dotarła na miejsce, zobaczyła jedną pomarańczową ścianę podtrzymywaną drewnianymi belkami, które widać było zza ogrodzenia.

- To ma być to najlepsze miejsce w Łebie??? - powiedziała Nina sama do siebie. - To tylko jedna ściana! Tak długo szłam, by zobaczyć jedną ścianę?! Idę sobie stąd. Mogłam teraz liczyć statki w porcie.

Cofnęła się więc, a wtedy...

- AAAAA!!!!!! - wykrzyknęła Nina. - Ratuuuuuunkuuuuu!!! Pomooooocyyyy!!! Ja Spaaaaadaaaaam!!!

Nina spostrzegła coś absolutnie dziwnego. Zauważyła, że wpadła w bardzo głęboki dół, który ciągnął się w nieskończoność jak podwodny tunel. Najdziwniejsze jednak było to, że w ziemi, z której był zrobiony cały tunel, wydrążone były większe i mniejsze... półki, na których były poustawiane najróżniejsze rzeczy: rośliny, książki, zabawki, sztuczki, koce, butelki z wodą, a nawet babeczki i torty urodzinowe!

- Kto to wszystko tu poustawiał? Kto wydrążył te półki? Czy stworzenie półek i ustawienie na nich rzeczy w długim, głębokim dole jest w ogóle możliwe? Komu udało się tego dokonać i jakim cudem? - głośno myślała Nina.

Wciąż leciała w dół, ale miała przeczucie, że ciężko o wypadek w miejscu, gdzie można zobaczyć rzeczy, które wydałyby się niewykonalne. Nie miała jednak racji - upadła niestety na twardą podłogę! Ciekawe skąd się tu wzięła ta podłoga? Kto na tym świecie buduje podłogę pod ziemią?

- Ha...Halo? Jest tu K.Kto? - powiedziała Nina cicho i niepewnie, lecz w tej przestrzeni echo sprawiło, że szept dziewczynki brzmiał jak zdecydowany głos. Mimo donośności głosu odpowiedziała jej cisza.

To niesamowite pomieszczenie wyglądało jak mieszkanie, tyle że najwyraźniej nikogo tu nie było. Nina trochę się rozejrzała. Gdy weszła głębiej do pomieszczenia, zauważyła, że na podłodze leżą liście truskawek. To znaczy, że ktoś tu był! Dziewczynka zaczęła poszukiwania. Co jakiś czas wołała: "Hop, hop, jest tu kto?", ale za każdym razem nikt nie odpowiadał. Za dwudziestym razem postanowiła, że zawoła ostatni raz, a jeśli odpowie jej cisza, to sobie pójdzie. Zawołała więc. Nagle...

- Jest tu kto? Ktoś tu jest! Nareszcie! - zawołał jakiś zadowolony głos. Po kilku sekundach nadbiegła mała, jasnowłosa dziewczynka.

- Cześć? - Nina spojrzała na nią niepewnie.

- Cześć! - odwrzknęła rozpromieniona dziewczynka, a echo sprawiło, że by znieść hałas spowodowany krzykiem tej dziewczynki, trzeba było sobie zatkać uszy. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jak dawno nikogo nie widziałam!

- Jak to nikogo nie widziałas?

- No tak... Opowiem ci pewną historię, chociaż nie wiem, czy ją zrozumiesz. Nie przerywaj mi tylko, jak będę opowiadać! Nienawidzę tego. Dobrze, przejdźmy do historii. Zaczyna się ona, gdy mam 7 albo 8 lat, nie pamiętam tak bardzo dokładnie.

- A ile lat masz teraz? - przerwała Nina.

- Mam teraz 10 lat, ale prosiłam, żebyś nie przerywała.

- Przepraszam, opowiadaj dalej.

- Więc gdy miałam 7 lub 8 lat, to mieszkalam w Szwecji. Pewnego dnia szłam sama ulicą i zauważyłam mur. Piękny, kolorowy mur, na którym aż chciało się usiąść. Więc usiadłam. I wtedy...

- I co wtedy? - zapytała Nina podekscytowana.

- Wtedy mur stał się przezroczysty i pojawiło się przejście do pewnej komnaty... Zapadłam się w mur, a potem w dół, przez który leciałam, leciałam, a wokół mnie były najróżniejsze rzeczy... Zresztą, skoro teraz tu jesteś, to chyba też je widziałas, co?

- I dlaczego stąd nie wyszłaś?

- Nie wyszłam dlatego, że to chyba niemożliwe... - odpowiedziała dziewczynka ze smutkiem.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła Nina. - To znaczy... przykro mi. A jak Ty masz na imię?

- Jestem Oliwia. A Ty?

- Nina, miło mi Cię poznać.

- Tęsknię za moją mamą - powiedziała Oliwia ze łzami w oczach. - Ma na imię Ola i jest wysoką blondynką o zielonych oczach...

Nina wybałuszyła oczy, bo ten opis pasował do Pani Oli, która poleciła jej miejsce, w którym się teraz znajduje i mała łebianka zdała sobie sprawę, że Oliwia może być jej córką!

- Znam ją! - powiedziała Nina bez zastanowienia.

- Kogo? Olę? Moją mamę?! - zawołała Oliwia z błyskiem w oku.

-Tak!

- Czyli...ona ...tu jest?

- Chyba tak... - Nina pomyślała o tym, co wcześniej powiedziała. - Muszę zniszczyć tę tajemniczą komnatę. Tylko tak się z niej wydostaniemy! Chodź ze mną! Musimy rozbić tę szklaną ścianę! Po czym wzięła z półki ozdobny kamień i rzuciła w szklaną ścianę, a wtedy... znalazły się przy lesie.

-MAMA! - krzyknęła Oliwia i rzuciła się na ...Panią Olę, która spacerowała nieopodal.

-To Ty... - zwróciła się do Niny. - Dziękuję, że uwolniłaś moją córkę!

Pani Ola i Oliwia rzuciły się w swoje ramiona i popłakały się ze szczęścia.

W tej chwili komnata rozpadła się na milion kawałków a Nina, Oliwia i Pani Ola stały w lesie, obok małej, starej, pomarańczowej ściany...

"Widzisz, zawsze można znaleźć coś, co nas zaskoczy."- Nina przypomniała sobie słowa Pani Oli. Tak, zawsze, zawsze może się coś takiego znaleźć... Każdy powinien te słowa zapamiętać i zawsze mieć je w sercu, i czekać, aż spotka go niezwykła przygoda...

Największa przygoda całego życia!

KONIEC

Autor: Española2011

III miejsce: Anna Czerwińska

godło: Azalia

Legenda o zbudowaniu w Łęborku kościoła pod wezwaniem świętego Jakuba Apostoła.

Dawno, dawno temu w Łęborku mieszkało pewne bardzo wierzące i zamożne małżeństwo. Bardzo się kochali i byli szczęśliwi. Do pełni szczęścia brakowało im tylko potomstwa. W końcu się udało i urodził im się syn, któremu nadali imię Jakub. Rodzice wychowywali chłopca zgodnie z wiarą i swoimi zasadami. Starali się również, żeby synowi niczego nie brakowało.

Niestety, spokojne życie mieszkańców zakłócił najazd krzyżaków. Chcieli oni zdobyć miasto i jego okolice. Mieszkańcy dzielnie się bronili. Pewnego dnia Jakub przyszedł do mamy i powiedział:

- Mamo, bardzo się boję, co teraz będzie?
- Synku, trzeba się modlić, zawierzyć Bogu i naszym obrońcom, że uda im się obronić nasze ziemie.
- Dobrze, ale jeśli przeżyjemy, pójdę do szkoły katolickiej, zostanę franciszkaninem i zbuduję kościół.

Mijały lata, krzyżakom nie udało się zająć miasta i okolic, więc je opuścili. Po walkach został zamek, baszty i część murów obronnych. Łębork był bardzo zniszczony. Z racji tego, że rodzice Jakuba byli bardzo zamożni, pomagali finansowo w odbudowie miasta i ludziom, którzy wszystko stracili.

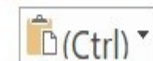
Pewnego dnia Jakub, przechadzając się w okolicach Placu Pokoju, zobaczył w ziemi głazy i korzeń w kształcie krzyża. Przypomniały mu się słowa, które wypowiedział, kiedy trwały walki. Stał chwilę i pomyślał, że trzeba dotrzymać danego słowa.

I tak po kilku latach został wybudowany kościół pod wezwaniem świętego Jakuba Apostoła. Jakub został również franciszkaninem i

obok kościoła wybudował klasztor. Do końca swoich dni starał się, jak tylko mógł, pomagać potrzebującym. Rodzice byli dumni z syna, że dotrzymał danej obietnicy.

III miejsce: Michał Moczyło

godło: Gajowiec



Legenda o leborskiej fontannie.



Dawno, dawno temu, w dolinie, nad rzeką Łeba, miał swój gród król Lebork. Król dobrze i sprawiedliwie władał swoim królestwem. Dbał o swych poddanych i szanował ich. Poddani również bardzo poważali swojego władcę i jego żonę.

W królestwie przez wiele lat dobrze się działo, jedynie brak potomka w rodzinie władcy zasmucał poddanych, a także króla. Jakaż więc była radość w grodzie Leborka, gdy na świat przyszedł królewicz. Dano mu na imię Lewinek. Gdy chłopczyk miał trzy miesiące, zorganizowano wielki bal dla wszystkich mieszkańców grodu i okolic. Była huczna zabawa - muzyka, tańce, śpiewy, podano mnóstwo jedzenia. Na koniec Lebork zaprosił wszystkich na pokaz fajerwerków. Lud był zachwycony, oglądając kolorowe, wirujące światła na niebie.

Jednak głośny huk i błyski zdenerwowały władcę, chmur i burz - pioruna, który uznał, że nikomu, oprócz niego, nie wolno błyskać i grzmieć na niebie. Postanowił ukarać władcę i jego lud, zsyłając na całą dolinę potężne deszcze. Długie ulewę podtapiały domy, pola i łąki.

W grodzie woda płynęła ulicami jak rwąca rzeka, niszczyć i zabierać dobytki mieszkańców doliny. Poziom wódz ciągle się podnosił, aż w końcu woda wdarła się do zamku, a powstała fala porwała królową, z małym księciem. Ani król, ani służba nie zdążyli pokonać wiru wody, by wyłowić królową z dzieckiem.

Woda porwała chłopca.

Deszcze padał jeszcze kilka dni. Ludzie wychodzili na drzewa i dachy swoich domostw, by przetrwać. W końcu wyszło słońce, a ulewę ustały.

Poziom wódz obniżał się z dnia na dzień. Ludzie zaczęli porządkować swoje domy. Wydawało się, że wszystko wraca do normalności. Dziwiono się tylko, że król i królowa nie wychodzą, jak zawsze, do ludu. Wkrótce wszyscy mieszkańcy dowiedzieli się

tragedii rodziny królewskiej. Lebork ogłosił zaginięcie swojego jedynego syna, zaś temu, kto go odnajdzie, obiecał oddać połowę królestwa. Wieść o zdarzeniu rozszła się po całej okolicy. Wszyscy mieszkańcy grodu, a także rycerze z innych stron, szukali małego księcia. Jednak z dnia na dzień szanse na odnalezienie dziecka malały...

W końcu zaniechano poszukiwań. Pogrążeni w smutku, król i królowa snuli się po zamku, na próżno wyrażając synka.

Pewnego wieczoru, gdy Lebork przechadzał się po tarasach swego zamku, usłyszał głośne rechotanie żab. Dźwięk ten był coraz głośniejszy. Król z niepokojem wyrażał intruzów. Jakie było jego zdziwienie i ogromna radość zarazem, gdy ujrzał osiem ogromnych żab, które niosły kotyskę, z jego ukochanym synkiem. Uradowany król, zgodnie z daną obietnicą, chciał oddać żabom połowę królestwa. Żaby podziękowały mu za jego hojność i wróciły na swoje bagna. A król na znak wdzięczności, kazał swoim najbliższym architektom zbudować, na środku królewskiego placu, okazałą fontannę, ozdobioną ośmioma złotymi żabami.

Dziś gród ten nazywa się Lebork, a w centrum miasta stoi fontanna z ośmioma żabami. Podobno wieść niesie, że ten, kto pogłaszcze po głowie wszystkie żaby, będzie bogaty i szczęśliwy, zaś ten, kto czule pocatuje jedną z nich, znajdzie partnera na całe życie.



III miejsce: Julia Walczak

godło: Hiacynt

ŻABKI

LEGENDA O FONTANNIE

Było to w 1930 roku, gdy po długiej wędrówce rolnik o nazwisku Żabiański dotarł do miasta o nazwie Lębork. Postanowił osiedlić się na obrzeżach miasta, gdzie znajdowały się ziemie rolne. To tutaj chciał rozpocząć swoją przygodę życia, związaną z rolnictwem, lecz życie wybrało mu inną drogę. Przez trzy lata uprawiał ziemię, siejąc zboże, które sprzedawał do młyna. Gatunki jego zbóż nie były jednak za dobre, dlatego młynarz płacił mu marne grosze.

Żabiański zafascynowany tym, że mu się nie wiedzie, postanowił udać się do pobliskiej wsi o nazwie Lubowidz o poradę. Spotkał się z gospodarzem Jedrusiakiem, który udzielił mu kilka rad. Żabiański zamiast radami zafascynowany się córką rolnika o imieniu Kalina. Była ona piękną kobietą o długich blond włosach i niebieskich oczach. To Kalina poprosiła Żabiańskiego, żeby spróbował ostatni raz zasiać zboże. Zauroczone dziewczyną, zgodził się. Poprosił również Kalinę, aby została jego żoną. Dziewczyna za pozwoleniem ojca, zgodziła się. W 1934 roku pobrali się. W tym samym roku Żabiański kopiąc na swoim polu natknął się na coś, co mu po czasie przyniosło powodzenie w interesach. Dzięki temu miał pieniądze. Tym szczęściem była woda. Nie była ona jednak zwykła, lecz krystalicznie czysta o słodkawym smaku. Razem z żoną, panią Żabiańską, doszli do wniosku, że trzeba to zacząć butelkować i sprzedawać. Z pożyczonych pieniędzy od ojca Kaliny otworzyli rozlewnię wody o nazwie ŻABIANKA.

Małżeństwo pracowało razem, ale tylko dwa miesiące, ponieważ okazało się, że pani Żabiańska jest przy nadziei. Rolnik, który stał się przedsiębiorcą zatrudnił miejscowych mieszkańców, czyli Lęborczan. Rozlewnia tak dobrze funkcjonowała, że zyski ze sprzedaży szły również na pomoc ubogim rodzinom, których Żabiańscy wspierali. Na początku 1935 roku zostali, jak się wkrótce okazało, rodzicami dwóch pięknych dziewczynek o imionach Jagoda i Felicja. Kiedy dziewczynki dorosły, również zaczęły pomagać rodzicom w rozlewni. Założyły także fundację, dalej pomagały ubogim mieszkańcom. Rodzina Żabiańskich zasłużyła się bardzo dla miasta Lęborka i jego mieszkańców. Na ich cześć, w podziękę za działalność społeczną, została zbudowana przez mieszkańców fontanna z żabkami. Legenda głosi, że woda, która pryska z żabek, jest tą samą, co wytrysnęła na polu Żabiańskiego.



Wyróżnienie: Kornelia Kaliszuk

godło: Barwinek

Legenda o lęborskich żabkach

Wiele lat temu na jarmark do Lęborka przyjechał młodzieniec. Był bogaty i przystojny. Kiedy chodził ulicą Staromiejską, jego uwagę zwróciło osiem kobiet, rozmawiających przy fontannie. Dziewczęta były siostrami i przyjechały z pobliskiej wioski na tę samą uroczystość, co młody mężczyzna. Po stroju młodzieniec poznał, że są Kaszubkami. Oczarowany ich urodą spędził z nimi całe popołudnie. Kobiety opowiedziały mu dużo o okolicy. Z zachwytem w głosie opisywały otaczającą ich przyrodę. Młodzieniec słuchał tych opowieści z zapartym tchem i zakochał się w cudownej krainie i uroczych dziewczętach. Nazajutrz zapragnął ponownie zobaczyć piękne panny. Poprosił o spotkanie niedaleko fontanny. Cały wieczór siostry kłóciły się o to, którą z nich młodzieniec weźmie za żonę, a on czuł, że jest zakochany, ale nie wiedział w której kobiecie. W nocy młodzieniec miał dziwny sen. Poszedł na spotkanie z pięknymi paniami. Musiał zdecydować się na jedną z nich, jeżeli nie wybierze żadnej do północy to zamienią się w żaby. Nadeszła godzina 23:50, a młodzieniec jeszcze się nie zdecydował. Gdy została niecała minuta do godziny 00:00, skóra dziewcząt zaczęła stawać się oślizgła i zmarszczona. Piękne kobiety zmieniły się w żaby. Młodzieniec bardzo żałował, że nie wybrał żadnej z dziewcząt. Niestety, sen okazał się rzeczywistością. Parę dni później przez Lębork przejeżdżała wróżka, która wiedziała o tej nieszczęsnej sytuacji. Z całych swoich sił starała się pomóc żabom znów stać się pięknymi Kaszubkami. Udało się, ale tylko na jeden dzień w roku przestępnym, żaby zamieniają się w kobiety, jednak tuż przed świtem z powrotem są żabami. Taki ich smutny los.

Wyróżnienie: Maksymilian Kotłowski

godło: Bluszczyk

Rycerz Lew

W bardzo zamierzczłych czasach, kiedy tereny północne porośnięte były ogromnymi puszciami, a bory pełne były zwierza, nie zamieszkiwał tu żaden lud. Była to dzika i niezdobyta kraina.

Ziemie tę przemierzał samotny człowiek. Był to potężny wojownik, który przybył z dalekiej krainy. Jego postać budziła postrach. Był bardzo wysokim mężczyzną.

Miał szerokie ramiona i długie ręce, ogromną głowę, porośniętą ciemną czupryną. Jego twarz obrosnięta była gęstą brodą. Ubrany był w skórę niedźwiedzia, a w rękę trzymał żelazny miecz. Nazywali go Lew. Posiadał ogromną siłę. Kiedyś udało mu się zgłodzić lwa i odtąd nazywali go Lwem.

Przemierzając wielkie połacie lasu dotarł na wzgórze, na którym była kwiecista polana. Usiadł pod wysokim dębem, żeby odpocząć. Spoglądając ku górze, podziwiał białego orła, który szybował na błękitnym niebie, nad jego głową. Nie wiadomo kiedy zasnął.

Przebudziwszy się, leniwie rozprostował ramiona i uśmiechnął się sam do siebie. Mrucząc pod nosem, powiedział do siebie: "to jest moje miejsce". Spodobła się mu ta okolica i postanowił tu zostać.

Zbudował na wzgórzu szałas, w którym zamieszkał. Odtąd każdego dnia ciężko pracował. Karczował las, kopał fosę i polował. Powoli rosła jego osada, udomowił też wiele zwierząt, miał dzięki temu pożywienie. Zaprzyjaźnił się też z orłem, który siadał mu na ramieniu, kiedy go karmił.

Pewnego dnia nad strumieniem zobaczył piękną dziewczynę o jasnych, długich włosach i błękitnych oczach. Od razu się w niej zakochał.

Podszedł do niej powoli i zapytał:

- Skąd się tu wzięłaś, piękna kobieto o długich włosach?

Dziewczyna odparła:

- Zgubiłam się.

Ze łzami w oczach rozpoczęła swoją opowieść.

- Moja historia jest smutna. Brat mój chciał mnie chronić, gdy napadli na nas bandyci, lecz nie zdołał ani mnie obronić, ani uciec z życiem. Uciekłam im i zostałam sama, bez nikogo. Błąkałam się po lesie, gdy ty do mnie podszedłeś.

- Jaki był cel twojej wyprawy z bratem przez ten las? - zapytał Lew.

- Potrzebowaliśmy pieniędzy. Mój brat popadł w tarapaty, przez udział w walce na miecze. Przewoziliśmy towar dla króla, który miał nas za to wynagrodzić. Reszta znasz..... - powiedziała smutno dziewczyna.

- Zostań moją żoną, będę cię chronić całe życie, przysięgam!!! - odrzekł mężczyzna.

- Och! Pragnęłam, żebyś to powiedział. Oczywiście, zgadzam się - wykrzyknęła dziewczyna.

- Muszę ci wyznać moją tajemnicę. Mam magiczny kamień, dzięki któremu mogę uzdra-

wiać chore osoby.

- Wierze Ci - odpowiedziała.

- Moja mama była szamanką, która została spalona na stosie za czary.

- A co byś powiedział na to, żebyśmy stworzyli szpital dla chorych osób? - zapytała dziewczyna.

- Tak, to dobry pomysł, postawimy też kościół dla ludzi, którzy będą chcieli tutaj z nami zamieszkać. Za patrona oberzemy św. Jakuba, od imienia mojego ojca. A może nawet zbudujemy gród i nazwiemy go Lavenborg? - powiedział.

Jak powiedział, tak i zrobił.

2 lata później przejeżdżał przez te okolice książę, który zachwycił się tym, co zobaczył. Za czyny i zbudowanie osady pasował woja Lwa na rycerza. Ofiarował mu tarczę samego księcia oraz skarby, w dowód uznania.

Następnego roku powstał tam zamek, a władał nim rycerz Lew oraz księżniczka Ino. Śmiali z tego, że byli dobrzy i sprawiedliwi.

Wyróżnienie: Liliana Kwapińska

godło: Dalia

MLYN

Jak głosi legenda, działo się to w średniowieczu, gdy Pomorze Gdańskie znalazło się pod panowaniem krzyżackim. Lewino cieszyło się znacznym poważaniem, gdyż leżało w bliskim sąsiedztwie szlaku handlowego.

Pewnego razu młody młynarz spotkał mężczyznę w podeszłym wieku - podróżnika, który opowiedział mu historię największego młyna na Pomorzu, a młyn ten powstał przy zamku krzyżackim. Młodzieniec, zafascynowany opowieścią, niedowierzając starcowi, chciał zobaczyć ten młyn. Wyruszył w podróż do grodu Lewino. Wędrował pieszo, konno, także drogą rzeczną. Po wielu dniach wędrówki dotarł do zamku krzyżackiego i stojącego koło niego młyna zamkowego, z nadzieją, że pracę tu znajdzie i być może żonę poślubi. Był bardzo mile zaskoczony, gdy ujrzał ogrom budowli. Zamek był ogromny, do niego przylegały budynki gospodarcze, browar, spichlerz, stajnie i przeogromny młyn wodny. Cała okolica dawała nadzieję na dobry handel, bo rzeka Łeba do morza wiodła i wielu kontrahentów tu przybywało.

Jan, bo takie młodzieniec nosił imię, zapukał do drzwi zamkowego młyna. Po chwili u progu stanął mężczyzna, tęgi, rumiany na twarzy.

- Witaj chłopcze, co cię do nas sprowadza?

- Panie, dużo słyszałem o tym mieście i twoim młynie, bo jest największy na Pomorzu, w krainie Błękitną zwaną.

- Miło mi to słyszeć. Młyn jest największy, to prawda, jednak ręk do pracy dużo potrzeba. Nie ma komu pól obrabiać, a co za tym idzie, zbóż na wyroby browarnicze dla Panów brakuje.

- Dlatego właśnie Miłościwy Panie prosić bym chciał o pracę. Robotny jestem, żadnej pracy się nie boję, a i pomysłów w głowie mam co nie miara.

- Dobrze, zatrudnię cię chętnie.

Modemu Janowi tak się we wsi spodobało, bo Lewino jeszcze miejskich praw nie zdobyło, że zapragnął tu zamieszkać.

Dzień w dzień rano wstawał i po pięknych okolicach wędrował, ulepszał dopływ wody do młyńskiego koła, które pod wpływem wody furczało.

Młyn lęborski stał się jednym z największych dostawców zbóż i trunków do dużych miast, a także i zagranicę państwa.

Właściciel, w podzięce za dużą pomoc i sumienność młodego Jana, zaproponował rękę swej córki Barbary.

Młodzi uradowali się z tej propozycji, ponieważ byli ku sobie od pewnego czasu, oraz obiecali, że dalej będą rozwijać i sławić największy młyn na Pomorzu. Młyn ten istnieje do dzisiaj.

Legenda o nawiedzonym koniu w Skarszewie

Koło Lęborka jest pewna wieś o nazwie Skarszewo. Znajduje się tam stajnia z pięcioma końmi o imionach: Mirabella, Kurała, Kasia, Wirek i Centek.

Włosnie o Centku jest ta legenda.

Pewnego wakacyjnego ciepłego dnia wybrałam się na spacer i zdecydowałam się zejść do starej opuszczonej hydroforni. Znajduje się to koło polany dla koni, akurat tego dnia konie były na polanie.

Kiedy byłam koło polany, moją ciekawość zebrał Centek, więc zaczęłam się na niego patrzeć. Zachowywał się dość dziwnie, ale nie dziwiłam się, bo tego dnia było bardzo ciepło.

Usłyszałam coś dziwnego, więc spojrzałam się za siebie. Nic nie było, więc dalej patrzyłam na konia. Wcześniej był on ode mnie około 20/30 metrów, a nagle pojawił się 5 metrów ode mnie i zaczął się dziwnie patrzeć, wystraszyłam się, więc zaczęłam biec w drugą stronę. Przebiegłam około 20 m, bo byłam teraz koło stajni. W stajni nie było żadnego konia. Pomyślałam, że po prostu poszły na polanę. Usłyszałam wołanie mojego imienia, więc odwróciłam się, a tam nikogo nie było, po prostu pustka, więc odwróciłam się w stronę stajni. A tam był Centek, ale nie był on w ogrodzeniu, tylko po prostu stał przede mną. Wystraszyłam się, więc od razu pobiegłam w stronę domu.

Przez tydzień nie chodziłam w stronę stajni, ponieważ się bałam. Jednego dnia moja koleżanka mnie namówiła, żeby pójść do koni, zgodziłam się. Tego dnia konie nie były wypuszczone na polanę, bo nie było za ładnej pogody, dlatego wszystkie konie były albo w stajni albo przed stajnią. Wszystkie, oprócz Centka. Zdziwiłam się, więc zaczęłam go szukać. Nigdzie go nie było. Po prostu jakby nagle zniknął. Zaniepokoiłam się, więc codziennie przychodziłam do stajni, żeby go poszukać, ale przez parę tygodni nigdzie go nie było. Po miesiącu w końcu się pojawił, ale był jakoś dziwnie cichy, spokojny i z daleka od innych koni.

Dlatego zawsze, jak będziecie w Skarszewie i zauważycie czarnego kucyka, który się dziwnie zachowuje, to uważajcie, a najlepiej od razu stamtąd **uciekajcie**.

LEGENDA O TAJEMNICZYM KAMIENIU Z CHOCIELEWKA

Dawno, dawno temu, w pewien deszczowy dzień, stało się coś niesłychanego. Bieg wydarzeń rozpoczął się w rozległej wsi o nazwie Chocielewko. Na polu między Chocielewkiem a Redkowicami coś spadło i zrobiło wielki hałas. Mieszkańcy od razu ruszyli to sprawdzić. Ich ciekawość była tak wielka, że nie zważali na konsekwencje. Nie martwili się, że może być to coś niebezpiecznego. Już zbliżali się do miejsca, z którego dobiegał głośny hałas, kiedy roztoczył się nad nimi niezwykle blask światła. Oślepiło to grupkę mieszkańców. Oni jednak się nie przestraszyli. Wrócili do domu i zaczęli wymyślać plan działania. Ich rozmowy były bardzo poważne. Jeden z mężczyzn z kosią bródką rzekł:

- Chłopaki, może weźmiemy okulary przeciwsłoneczne. One mają te szkiełka, które ochronią nas od tego światła i moglibyśmy sprawdzić, co to jest.

Od razu odparł mu jeden z uczestników spotkania:

- No, no... Powiem ci, że niegłupi pomysł. Tylko mam jedną uwagę, skąd je weźmiesz.

Mężczyzna z kosią bródką, który nazywał się Władysław, odpowiedział:

- Słusznie. Jak je zdobyć?

Przez chwilę w małej chatce była taka cisza, że było słychać myszy, w swoich kryjówkach. W końcu pewien Bartłomiej krzyknął:

-Ej! Mam plan. Już wiem, jak to sprawdzimy. Twój pomysł z okularami, Władysław, był dobry. Niestety jest problem. Dostawa takiego produktu nastąpi dopiero przed latem, więc możemy spróbować przedrzeć się przez ten blask. Wybierzemy trzech ludzi i zobaczymy, czy wrócą. Jak nie, to następnego dnia o tej samej porze wyślemy kolejnych trzech.

Przez całą noc obmyślali, kogo wziąć, kto się nadaje, kto się nie przestraszy. Wszyscy byli bardzo zaangażowani. W końcu stwierdzili, że pójdzie Bartłomiej, bo to jego pomysł. Drugą osobą był Władysław, ponieważ dużo się udzielał. Wzięli jeszcze syna Grzegorza, który miał około 10 lat. Stwierdzili, że dziecko też się przyda. Potem szykowali przeróżne narzędzia, broń i zapasy żywności.

- Dobra, trzeba się zdrzemnąć, żeby być wypoczętym. Jutro spotkamy się o wschodzie słońca pod chatką!- z entuzjazmem wykrzyknął Bartłomiej.

Następnie chłopcy się rozeszli do swoich domów. Niektórzy byli przerażeni, a inni podekscytowani. Wiedzieli, że albo wrócą żywi, albo zginą na miejscu. Mieli tak mało czasu, ale ich odwaga nigdy nie gasła. Wszyscy chcieli się jakoś zaangażować

i pomagali na różne sposoby. Kobiety szykowały jedzenie, by nikt nie poczuł się głodny. Dzieci bawiły się, trzymały kciuki za Kacpra, którego wybrano, a mężczyźni obmyślili swoje plany przy kuflu piwa.

Kolejnego dnia o wschodzie słońca trzech odważnych ludzi wyruszyło w nieznaną podróż, aby zbadać tę niewiarygodnie dziwną sytuację. Byli tak zestresowani, że przez całą podróż nic nie mówili.

Gdy doszli na miejsce, od razu ruszyli w stronę potężnego blasku. I wtedy nieoczekiwanie udało się trzem śmiałkom przedostać przez światła. Stali oni

wpatrzeni wielki głaz i małe, dziwaczne, zielone ludki. Mężczyźni patrzyli na stworzenia, a one na nich. Po kilku minutach stwory zaczęły coś do siebie szeptać. Uczestnicy wyprawy nie wiedzieli, co teraz. Ich miny były przedziwne. W końcu Kacper wykrzyknął:

-Hej! Dziwaczne stworzenia, czego od nas chcecie!?

Zielone stwory popatrzyły i uciekły na swój statek. Bartłomiej odrzekł zaskoczony:

-Stchórzyły i uciekły. Sprawdźmy ten wielki kamień.

Bartłomiej, Władysław i Kacper ruszyli zbadać sytuację. Okazało się, że przy głazie została przyczepiona kartka, na której były zapisane słowa:

„My, kosmici, przynosimy ten wyjątkowy kamień, aby Wam podziękować, że przywróciliście skromne, Chocielewko do życia.

Serdecznie dziękujemy .

Zielone Stwory!”

Chłopakom, po przeczytaniu tego, skamieniała twarz. Byli oni zaskoczeni i uradowani. Po chwili szybkim krokiem ruszyli do domu. Tam czekała na nich połowa wsi. Wszyscy byli ciekawi, jak im poszło. Mieli do nich sporo pytań. Bohaterowie wyprawy z przyjemnością odpowiadali na zadawane pytania. Świątowali, rozmawiali, jedli i pili. Byli zadowoleni z wykonanej misji.

Do dzisiaj można oglądać kamień we wsi Chocielewko. Odwiedza tę wieś wielu turystów, a mieszkańcy są dumni ze swoich zabytków.

BISMARCK